

ono staje się poprzez to problematyczne. Przecież mówi nie więcej i nie mniej niż to, że ktoś oddaje swoje życie w imię tego, aby twoje skazy zła było pozbawione. Na ogół okazuje się jednak, że tak nie jest. Że pomimo tego grzeszymy i grzech może być naszą codziennością. A i historia ludzkości uczy nas, co już wspominałem, że tak się nie zdarzyło i jak słusznie podejrzewamy, raczej się nie zdarzy. Chociaż, czemu nie?

Co zatem? Czyżby Bóg tego nie przewidział? Z pewnością tak nie jest, chociaż ofiarowanie samego siebie w postaci swego syna nie dało widocznych efektów. Było to jednak działanie, którego rezultatem stało się chrześcijaństwo. Bóg zawsze chce dotrzeć do nas. Jeśli początkowo nie judaizm, to później chrześcijaństwo, a dalej islam, hinduizm, a nawet buddyzm nie pomijają.

Wróćmy jednak na nasze podwórko. Jeżeli nawet przeciętny Kowalski weźmie pod uwagę męczeńską śmierć Jezusa jako wyraz najwyższej miłości do człowieka to w owym będzie pojawiać się pytanie o jego wolną wolę, o to: skoro podstawą miłości jest wolność, to dlaczego jest ona obligowana zdarzeniem śmierci na krzyżu? Może on dosłownie tak tego nie wyartykułować, lecz poprzez to może tylko stwierdzić, że jest na to zbyt głupi i dla własnego bezpieczeństwa przyjął, co dane. Nie zmienia to jednak faktu. Wolność, albo jej brak się po prostu czuje. I to czucie powoduje we mnie pytania. Tym podobnym czuciem, jeśli nie lepszym, obdarzony jest mały chłopiec, czy mała dziewczynka, którzy mają z pewnością wielki problem. Dlaczego Jezus musiał umrzeć za mnie? Co ja takiego zrobiłem, zrobiłam, że tak się stało? Dzieci myślą zero-jedynkowo i to pytanie jest w pełni zasadne. Jak taką kwestię wytłumaczyć dziecku, skoro dorosły ma z tym tu omawiane problemy?

Nie kwestionuję śmierci Jezusa na krzyżu. Co to, to nie. Byłoby to wbrew prawdzie historycznej. Nie kwestionuję również Jego zmartwychwstania. Jedno i drugie zadziało się w tym samym, jednym czasie. Mówię tylko o tychże prawd narzuconej interpretacji, która skłania do wyżej przedstawionych przemyśleń. Moim zdaniem nie możemy ich takimi przyjąć. Nie możemy myśleć, że śmierć Jezusa i Jego zmartwychwstanie, to kwestia naszej winy. To „problem” Boga, który wybrał między ogromnym, związanym z walką w sensie militarnym, a mniejszym złem, pozwalając na ukrzyżowanie. Jego symptomem było już wyganianie przekupniów ze świątyni. Tam pisałem, że to obraz mający na celu ukazanie sensu agresji. A zatem nie było to bez celu.

Poczucie winy nigdy nie prowadziło, nie prowadzi i prowadzić nie będzie do pozytywnych rezultatów. Raczej wręcz odwrotnie. Jest też jedną z przyczyn, jeśli nie główną, budzenia się buntu, a ten stanowi przecież przeciwieństwo pokory. Nie mogę więc się zgodzić ze stwierdzeniem Leszka Kołakowskiego, który w książce „Jezus ośmieszony” pisze, że: (...) „zdolność do poczucia winy jest warunkiem bycia człowiekiem. Ta zdolność czyni nas istotami ludzkimi, mówi Księga Rodzaju, i słusznie. Słusznie dlatego, że nie mamy żadnej znajomości dobra i zła, jeśli nie odczuwamy

ich w sobie; tak więc doświadczać zła jako stanu własnej duszy to czuć się winnym. Jeśli nie umiemy czuć się winni, nie jesteśmy zdolni do odróżniania dobra od zła”. Ten sposób myślenia wprawdzie doskonale nobilituje znaczenie ukrzyżowania Jezusa jako budzenie w nas poczucia winy, lecz jednocześnie skazuje nas, by tak rzec, na mało wartości. Mówi bowiem nie więcej i nie mniej niż to, że tylko w ramionach poczucia winy możemy czuć się w pełni ludźmi. Innej możliwości nie ma. Tylko gniożąca nas dusza jest warunkiem tego, że do homo sapiens przynależymy. Buntujemy się, albo pokornie to przyjmujemy. Tu jest to zupełnie niepotrzebny balast. Leszek Kołakowski jest typowym racjonalistą i uzależnia nas, by tak rzec, stany duszy od tego, co możemy poczuć dosłownie. Poczucie winy z pewnością do takich należy. Jest to dla niego sygnał, który dobro od zła miałyby odróżniać. W rzeczywistości jednak sprawa nie jest tak prosta, jak sugerują jego słowa. Choćby z tego powodu, że poczucie winy może być w nas wywoływane, na przykład przez emocjonalnych wampirów. Kategoria doskonale znana we współczesnej psychologii, a i może przez niektórych z nas, na co dzień. Czy w takim przypadku możemy mówić, że poczucie winy jest zwykłym nośnikiem dobra i zła? Jesteśmy wtedy zbyt, by tak powiedzieć, skołowani, aby wydać jednoznaczne decyzje. A ulegając wywoływaniu przez emocjonalnego wampira poczuciu winy jeszcze bardziej się w nie, by tak rzec, zapętłamy.

Nie jest zatem sprawą oczywistą, że poczucie winy jest swego rodzaju domeną rozstrzygającą co do dobra i zła. Nie jest tak, że pojawiające się jest jednocześnie informacją, że dziejemy się w tym, co nazywa się złem. Może być informacją od tego, który za zło może twoje poczynania uważać, chociaż według twojej oceny tak nie jest. W świetle empatii to istotna sugestia. Wcale to nie musi znaczyć, że brak nam pokory. Może oznaczać istotne zagrożenie dla naszej wolności. W ogóle uważam, biorąc pod uwagę empatię, że jest to najbardziej istotny sygnał, ta nasza wolność, który mówi zarówno do nas, jak i do tych, którzy chcą nas jej pozbawić. Oni też to „wiedzą”, lecz ich własne EGO im to zaciemnia. I wtedy całe to poczucie winy jako swego rodzaju racjonalny drogowskaz spala na panewce. I wtedy zacytowane słowa Leszka Kołakowskiego również niewiele znaczą.

Nie możemy powiedzieć małej dziewczynce, że Jezus został ukrzyżowany za nasze grzechy, czyli i za jej. Wrażliwe dziecko zapyta, i to raczej siebie: co tak straszno zrobiłam, że On musiał umrzeć? Jest to dla niego po pierwsze, dylemat rodzący przerażenie, po drugie: nie do rozwiązania. Nic bardziej obciążającego na przyszłe życie. Również osoba dorosła, chociaż już zaopatrzona w pewien życiowy pancerz ochronny, jeśli na serio chce traktować wiarę w chrześcijańskiego Boga, ma dylemat analogiczny; tyle że może ostrość perspektywy mniejsza. Nie zmienia to jednak faktu. Zatem: jedynym wytłumaczeniem konieczności śmierci Jezusa na krzyżu jest wspomniane przeze mnie wcześniej zobrazowanie faktu, że agresja rodzi agresję, wyga-

nianie przekupniów ze świątyni dało swój wyraz w ukrzyżowaniu. Innego sensu nie widzę.

Czy więc Jezus był mesjaszem? Z czysto racjonalnego punktu widzenia z pewnością nie. Jego działalność Boga jako człowieka od początku do końca nie miała takiego charakteru. Stąd też zawsze odżegnywał się od takiego tytułu. Nigdy, powtórzmy, tak o sobie nie mówił. I sądzę, że nie chodzi tu tylko o same warunki historyczne w jakich działał. Gdyby były one inne, sądzę, byłoby podobnie. Natomiast jeżeli pod uwagę weźmie się fakt, że królestwo Jego było, jest i będzie nie z tego świata, to odpowiedź nasuwa się sama. I nie podlega dyskusji.

Co zatem? Jak znaleźć odpowiedź, która by zadowoliła wszystkich. Takiej z pewnością, dopóki żyjemy, nie znajdziemy. Dopiero śmierć powie nam wszystko. Rozwiążą się też wszelkie inne problemy. Nic nie będzie nam nieznanym. Dowiemy się, co w trawie piszczy. Albo też – nic się nie dowiemy, bo nas nie będzie. Przecież taką opcję też należy wziąć pod uwagę. Czy dla chrześcijanina to będzie szok? Nie sądzę, bo nic nie będzie. Dla agnostyka czy ateisty, podobnie. Jednak dla tych dwóch mogą bardziej szeroko otworzyć się oczy, gdyby okazało się, że jednak istnieje życie pozagrobowe. Szczęśliwy chrześcijanin natomiast będzie już wiedział, czy Jezus był mesjaszem, czy też nie. Chociaż już teraz wierzy, że był, choć mesjanizm Jego nie z tego świata. I to jest prawda.

## Janusz Orlikowski



Rys. Stefan Rusin